

Jacek Hołówka  
*Uniwersytet Warszawski*

## DIALOG Z TERRORYSTAMI? PO CO?

**A**ndrzej Grzegorzczak jest zdania, że „na świecie trwa walka cywilizacji”. Wierzy też, że walkę tę można jakoś powstrzymać lub złagodzić. Twierdzi, że obowiązek ten spada na cywilizację zachodnią, gdyż – jego zdaniem – ma ona „najlepsze narzędzia intelektualne do tego celu”. Przyszły dialog, mający budować lepsze zrozumienie, niweczą jednak autorzy tacy jak ja, którzy dają dowód „zadufania, arogancji i pychy”, ponieważ używają pojęcia „terrorysta” bez definicji, i używają go jako „narzędzia walki, degradacji i upokorzenia”. Muszą przyznać, że te poglądy wydają mi się nie tylko błędne, ale wprost kuriozalne.

Nic nie wiem o żadnej walce cywilizacji. To prawda, że kilku autorów twierdzi od jakiegoś czasu, iż grozi nam totalna wojna kulturowa, ale mnie się nie udzielają ich lęki i nie przekonują mnie ich mgliste argumenty. Przecież Hindusi żyją w Indiach, jak mu się podoba. Chińczyk w Chinach robi to, co robią jego sąsiedzi. Nam w Europie nikt nie zagraża i pozwala żyć po europejsku. Arabowie trzymają się islamu i wielożęstwa. W Australii nikt nie myśli ze strachem o kulturze północnej półkuli. Gdzie tu jest miejsce na wojnę cywilizacji? Kto miałby z kim walczyć i o co? Oczywiście świat wyglądał inaczej 20 lat temu, i wtedy taka groźba była bardziej realna. Ale teraz to się skończyło. Wtedy wojna nuklearna mogła wybuchnąć choćby przez przypadek i rozlać się na cały świat, ponieważ podsyciała ją zapiekła narodowa nienawiść wzniecana przez potężną propagandę wielu krajów. Dziś Rosja, Chiny, Europa i Ameryka nie mają zdeklarowanych wrogów. I nie stosują retoryki, która rozogniałaby ideologiczne spory. Potężne kraje, z wyjątkiem może USA, coraz rzadziej mieszają się do nieswoich spraw. Dziś konflikty powstają, gdy Arabowie we Francji chcą, by ich córki chodziły w chustkach do szkoły i nie ćwiczyły na lekcjach wychowania fizycznego w krótkich spodenkach, bo to je rzekomo demoralizuje. Nienawiść budzą Amerykanie, gdy zakładają bazy wojskowe w odległych krajach i żądają, aby ich żołnierze podlegali jurysdykcji amerykańskich, a nie lokalnych sądów. Niechęć budzą Niemcy, gdy zajmują coraz więcej miejsca na hiszpańskich plażach. Czyli, krótko mówiąc, niezbyt kochamy cudzoziemców i szybko, czasem zbyt szybko, uznajemy, że się

panoszą na nieswoim terenie. Trzeba więc uznać, że żyjemy na mało gościnnym globie. Ludzie obcych kultur są często narażeni na dyskryminację, a gdy zaczynają się bronić lub istotnie narzucać siłą swoją obecność, łatwo uznajemy ich za jawnego wroga. Natomiast nie ma żadnych powodów, by wierzyć, że muzułmanie zechcą zwalczać chrześcijan na całym globie, że Ameryka stanie się mocarstwem żądającym uznania angielskiego za język oficjalny w każdym kraju, że Chińczycy zarzucą świat swymi tanimi wyrobami wytwarzanymi w strefach wolnego handlu, że India i Pakistan wywołają globalny konflikt atomowy w sporze o Kaszmir, że pojawi się jakiś nowy Hitler, Stalin lub gigantyczny Pol Pot. Problemy stały się lokalne, nienawiść jest dość ograniczona. Zreszta w jakim celu ktoś miałby prowadzić wojnę cywilizacyjną? Dla własnego zwycięstwa, dla założenia nowych kolonii, dla rozwiązania problemów polityki wewnętrznej?

Mogę więc chyba używać słowa „terrorysta” bez definicji i bez obawy, że w ten sposób przyczyniam się do zaostrzenia globalnej wojny cywilizacyjnej. A właściwie dlaczego używanie tego słowa bez definicji staje się „narzędziem walki, degradacji i upokorzenia”? Czy epitety należy najpierw definiować, a później dopiero ich używać? Czyli nie wolno powiedzieć „złodziej” na złodzieja, „morderca” na mordercę i „oszust” na oszusta zanim się nie zacytuje odpowiedniego fragmentu ze słownika języka polskiego? Przecież te słowa mają oczywisty sens. Definiować od nowa musi ten, kto wyraża się dwuznacznie lub dziwacznie. Natomiast ten, kto mówi, że terrorystą jest pilot-samobójca, celowo ściągający samolot z pasażerami na wieżę w Nowym Jorku dla zastraszenia wielu przypadkowych mieszkańców globu, nie musi dodatkowo niczego wyjaśniać. Jeśli to nie był terrorysta, to kto jest terrorystą? I po co nam dystans w stosunku do takich ludzi? Żeby terrorysty nie obrazić? To doprawdy kuriozalne oczekiwanie, a co dziwniejsze, to ja zdaniem Grzegorzcyka bałwochwalczo trzymam się poprawności politycznej, a nie on!

Grzegorzcyk liczy na jakiś dialog z terrorystami. Sądzi, że warto by wiedzieć, „czy to, co nazywamy terroryzmem, ma uzasadnienie w systemie jakiejś, może wyraźnie jeszcze nie wypowiedzanej myśli islamskiej? W tym kierunku powinny niewątpliwie pójść badania. Muszą one jednak wtedy sięgnąć podstaw teologicznego dyskursu islamu”.

Szanuję te intencje, wierzę też, że w rozmowie można wyzbyć się wielu uprzedzeń, usunąć wiele nieporozumień, zmienić nastawienia, ale projekt wydaje mi się krańcowo nierealistyczny. Przecież nie można dialogować za obie strony, a terroryści nie chcą żadnego dialogu. Chcą spektakularnego działania. Jeśli dla terrorysty właściwą formą wyrażenia przekonań jest wysadzenie w powietrze autobusu lub pociągu, rozbicie samolotu, zdetonowanie bomby w restauracji, to oczywiste, że rozmowa z nim jest niemożliwa. Zamknięta mentalność zdesperowanego bojownika wyraża się w pogroźkach, aktach sabotażu, w skrytobójstwie. Terrorysta, który podczas ataku ginie, daje do zrozumienia, że nie ma nic do powiedzenia, że wyczerpał swe argumenty i że sam nie chce niczego słuchać. Woli umrzeć razem ze swymi wrogami. Jego językiem są proste, dramatyczne gesty, te-

atralne dowody bezradności, manifestacja krańcowej niewiary w inne formy porozumienia. Nie trzeba zresztą szukać terrorystów, by zrozumieć, kiedy dialog jest niemożliwy. W Warszawie pojawiają się co jakiś czas agresywne inskrypcje na murach: gwiazda Dawida zawieszona na szubienicy, sierp i młot z dopiskiem „Powrócimy”, swastyka lub po prostu słowne wulgaryzmy. Malarze tych symboli chcą coś wyrazić, ale sami nie wiedzą dokładnie co. Czy ktoś im zamyka usta? Czy zabrania im używać argumentów? Czy im utrudnia dyskusję? Problem polega na tym, że fanatycy nie mają nic do powiedzenia. Chcą tylko gromko wyrazić swój protest przeciw całemu światu i wzruszyć widzów swą niemą desperacją. Wyobraźmy sobie zresztą, że ktoś próbowałby ułatwiać im dyskusje, szukał za nich odpowiednich argumentów, zrobił krok w ich stronę. Od czego miałby zacząć? Że Hitlera też można zrozumieć? Że komuniści nie mieli należytej szansy zrealizowania swych planów i chcemy, żeby jeszcze raz próbowali? Że być może w wieżach nowojorskich siedzieli krwio pijcy? Chwila zastanowienia wystarczy, by dostrzec, że dla losowego wybijania przypadkowych ofiar nie ma dobrego argumentu. Czyli z terrorystami trzeba by rozmawiać o czymś innym niż o terroryzmie. Tylko o czym i po co? O krzywdach, jakie islam poniósł wiele lat temu z rąk Krzyżowców? O tym, czy pobieranie odsetek od pożyczki bankowej to dopuszczenie się lichwy? O tym, czy Zachód jest arogancki? To są tematy zastępcze i mało interesujące. Zamachowcy nie chcą zresztą usprawiedliwić swego postępowania, tylko chcą potrząsnąć światem, chcą wszystkich przerazić i wpędzić w popłoch. Chcą milcząco narzucić swój sposób myślenia bez argumentów, których nie mają, i których, jak twierdzą, nie da się nawet za nich wymyślić. Nie warto więc prowadzić badań nad teologią islamu w tym jedynie celu, by ustalić, czy islam namawia do zabijania niewiernych. Wiadomo, co Koran mówi na ten temat. Mówi, że prześladowcy Proroka słusznie ponieśli karę. Metaforycznie napomyka, że może tak być zawsze. Kto ma zdecydować, czy taka przepowiednia odnosi się do pracowników górnych piętrow nowojorskiej wieży? Tu nie da się nic stwierdzić, tym bardziej że islam nie ma najwyższego kapłana i nie podlega żadnej zwierzchniej władzy teologicznej. Wybijanie niewiernych nie należy do filarów wiary, a więc w tej sprawie każdy może sobie myśleć, co chce. Sprawa leży poza teologią.

W takiej sytuacji rozstrzygające znaczenie może mieć jeden argument, jak sądzę. Trzeba postawić pytanie: „Komu zaufasz, gdy twoja religia mówi ci »zabijaj!«, a twoja moralność mówi ci, »nie zabijaj!« Nie jest to pytanie kierowane do terrorystów, tylko do ich zwolenników. Zdeklarowani terroryści nie mają tego dylematu. Ich moralność i ich religia mówią jedym głosem: „Niewiernych wolno zabijać, bo są przekleństwem tej ziemi”. Ale nie każdy muzułmanin ma tak jednolite i radykalne poglądy. Podobnie jak w przeszłości nie każdy chrześcijanin usprawiedliwiał ogniste zapędy proslitycznej Inkwizycji. To właśnie chciałem w swym tekście powiedzieć i chyba wyraziłem myśl dość jasno. Namawiałem, i nadal namawiam osoby wierzące, by bez względu na swe wyznanie bardziej ufaly swej moralności niż swej religii. Grzegorzcyk na to pyta: jaka to ma być etyka,

jaka religia? Moja odpowiedź jest oczywista – Dowolna! Po co mi jakaś klasyfikacja? Potencjalnie każda religia ma zdolność tłumienia rozumu i usypiania sumienia. A realnie bywa z tym różnie. Każdy interesujący przypadek trzeba badać oddzielnie. Są religie, które ćwiczą subtelność filozoficzną i uwrażliwiają sumienie. Są takie, które domagają się głównie posłuszeństwa i bezkrytycyzmu. Często w obrębie tej samej religii jedni wyznawcy wybierają wiarę paradoksalną i wątplącą, a inni wiarę pewną siebie i paramilitarną. Nie będę religii klasyfikować i oceniać. Mówię tylko tyle: gdy dochodzi do konfliktu, etyka jest bardziej wiarygodna niż religia, ponieważ nie ma interesów instytucjonalnych, odwołuje się bezpośrednio do sumienia, nie dzieli ludzi na swoich i obcych, nie korzysta z niezrozumiałych dogmatów, nie sankcjonuje nienawiści ani sprawiedliwej wojny, nie obiecuje odpuszczenia grzechów, nie opiera się na wyrokach nieomylnych kapłanów, nie przyjmuje uprawnień narodu wybranego, nie obraża się za żony Proroka. Zamiast tego żąda wrażliwości, konsekwencji i odpowiedzialności. Inaczej mówiąc, moralność nie ma skłonności do fanatyzmu, religia ma.

Grzegorzcyk mógłby na to powiedzieć, że zna fanatyków, którzy są ateistami. To prawda, ja też znam takich ludzi, i wcale nie twierdzę, że każda religia prowadzi do fanatyzmu. Mówi o tym dość poplątana i niejasna opowieść o białym i czarnym koniu. Mówi o tym wiara Kierkegarda i Wittgensteina, piękna, odważna i zagadkowa. Grzegorzcyk mi zarzuca, że błędnie przypisuję Kierkegardowi pogląd, że uznawał Boga bardziej za tajemnicę niż osobny byt. Nie będę się o to spierał. Tego istotnie nie jestem pewien. Podałem cytaty na poparcie swojej interpretacji. Mogę podać jeszcze nowy. „Jednostka, która wybiera poszukiwanie obiektywnej drogi (osiągnięcie poznania Boga), wkracza w proces całkowitej aproksymacji, próbując postawić Boga w obiektywnym świetle. Lecz to się nigdy nie uda, ponieważ Bóg jest podmiotem istniejącym subiektywnie i postrzeganym przez subiektywną duchowość. (...) Kto jest bliższy prawdy? Czy ten, kto żyjąc pośród chrześcijan, wchodzi do domu Bożego, domu prawdziwego Boga, zna prawdziwe pojęcie Boga i modli się, lecz czyni to nieszczerze; czy ktoś kto żyjąc wśród bałwochwalców, modli się żarliwie do obrazu bożka? Ten drugi modli się do Boga prawdziwie, chociaż czci bożka. Ten pierwszy modli się fałszywie do prawdziwego Boga i w rzeczywistości czci bożka” (fragment z *Zamykające nienaukowe postscriptum* (1846) na podstawie: Ben Alex Soren Kierkegaard. *Życie prawdziwe*, s. 82–83).

Jeśli dla Kierkegarda Bóg jest „podmiotem istniejącym subiektywnie”, to można chyba powiedzieć, że Kierkegaard nie mówi o realnie istniejącym Bogu osobowym, nie mówi o osobnym bycie, tylko o jakimś tajemniczym podmiocie istniejącym dla wierzącego w obrębie jego świata, czy w jego duszy. Mogę się tu mylić, ale nie chodziło mi, rzecz jasna o podanie autorytatywnej wykładni Kierkegarda, tylko o ilustrację tezy, że wiara może być silnie osobista, prywatna i subiektywna, i że wtedy jest mniej skłonna do zapalczywości, do nawracania i do fanatyzmu. Mniej, nie znaczy, że jest od nich całkiem wolna. Pamiętam, co robił Savonarola i pamiętam fascynująco groźną postać brata Jorgesa z *Imienia róży*

Umberto Eco. Posepnii i podstępni rygorysty mogą zeszpecić swą wiarę na własną rękę, gdy kieruje nimi fanatyczne pragnienie nawracania przy użyciu wszelkich środków. Czegobyśmy jednak nie mówili, nie byli to terroryści. Może byli trochę do nich podobni. Może Savonarola bezczelnie szydził z biskupa i może Jorges spalił bibliotekę, po to tylko, by pozbawić świat ostatnich egzemplarzy wspaniałych, lecz niechętnych religii tomów. Żaden jednak nie zabijał niewinnych, by wprowadzić terror wśród pozostałych przy życiu.

Grzegorzcyka razi, że napisałem: „Religia wyznawana publicznie nie może opierać się na osobistych przekonaniach”. Przynajmę. To zdanie jest prowokacyjne i dwuznaczne. Można je rozumieć jako twierdzenie: „żadna publicznie głoszona wiara nie może być zgodna ze zbiorem osobistych przekonań”. Można je też rozumieć jako twierdzenie: „żadna publicznie wyznawana wiara nie może zależeć od zmiennych, przez jednostkę indywidualnie badanych i ewentualnie korygowanych, osobistych przekonań”. Pierwsze twierdzenie jest nieprawdziwe, ale błahe; drugie jest prawdziwe i bardzo ważne. Podświadomie chyba drażniłem czytelnika (przynajmniej jednego) pierwszym rozumieniem, by zwrócić uwagę na to drugie. Jestem przekonany, podobnie jak Kierkegaard i Wittgenstein, że wiara musi być świeża i autentyczna, że nie można wierzyć wbrew samemu sobie, wbrew swym autentycznym przekonaniom. Że zatem człowiek, który przyjmuje skodyfikowaną wiarę, rezyguje z krytycznego dociekania jej trafności, a więc przestaje wierzyć: „czci bożka w domu prawdziwego Boga”.

Myszę zresztą, że w tej sprawie niewiele może mnie z profesorem Grzegorzcykiem poróżnić. Choć Grzegorzcyk powołuje się na Kościół, papieża i Las Casasa przeciw Sepulvedzie, to – o ile wolno mi w ogóle opisywać jego wiarę bez wywołania analogicznej reakcji z jego strony – jest to wiara mało ortodoksyjna, a właśnie osobista, krytyczna i subiektywna. Grzegorzcyk pisze o istocie związku między religią i etyką bardzo ciekawie: „Związek sumienia z religią najmocniej chyba został wyrażony przez Jezusa w jego opisie sądu ostatecznego. Ostateczna, podstawowa ocena religijna, ocena z punktu widzenia osobowego Boga, okazuje się w tym opisie oceną biorącą pod uwagę udzielenie lub nieudzielenie pomocy drugiemu potrzebującemu człowiekowi”. Mam wrażenie, że to zdanie też jest celowo prowokacyjne i dwuznaczne – zapewne dla obudzenia reakcji choć jednego czytelnika. Oto ona. Takie twierdzenie może znaczyć: „Podczas sądu ostatecznego każdy człowiek oceniany będzie wyłącznie za to, czy w swym życiu pomagał potrzebującym”. Może też znaczyć: „Podczas sądu ostatecznego Jezus będzie się kierować zasadą pomocy drugiemu, potrzebującemu człowiekowi”. Przy obu rozumieniach jest to zdanie niezgodne z ortodoksyjną wiarą Kościoła katolickiego. Jeśli nie wprowadziły mnie w błąd obrazy Memlinga, a także wielu innych malarzy sądu ostatecznego, do piekła wtrąceni zostaną nie tylko ci, którzy odmówili potrzebującemu pomocy, ale też krzywoprzysięzcy, cudzołożnicy, heretycy, obzartuchy i opilcy. Nie sądzę też, by sąd ostateczny miał być przesłuchaniem, na którym sam Jezus miałby po raz wtóry wstawiać się u Najwyższego za grzesznikami i by to On sam miał się kierować wówczas zasadą, że ponownie ma pomagać

potrzebującym, raz jeszcze brać na siebie ich grzechy, uchronić od piekła ich dusze i ciała skazane na potępienie. Dostrzegam czystą wzniosłość i moralny patos tych wizji. Chętnie przyznaję, że Grzegorzycy świetnie powozi białym rumakiem, trzymając czarnego na wodzy. Nie sądzę jednak, by znalazł wielu wyznawców w swym rydwanie, jeśli kiedyś zechce obrócić się za siebie. Jest też zwolennikiem religii subiektywnej i osobistej.